

Wielki Plan

(historia nr 1.01 w serii książek Aimeiz, aimeiz.pl)

Henry stanął przed bramą budynku ANS doszczętnie przemoknięty porannym deszczem. Strugi wody spływały mu po twarzy, ale nie śpieszył się z identyfikacją – wolał tkwić w ulewie, niż spędzić kolejny dzień w przeklętym biurze. Po dziewięciu latach pracy nienawidził Agencji i oszklonego korytarza, którym co rano wędrował jak więzień. Był pewny, że na stałe włączona przezroczystość ścian w pokojach pracowników służyła im, by wbijać mu w pierś klin niewymówionych oskarżeń.

– Moje życie to uporządkowany koszmar – mruknął pod nosem, kiedy jego tożsamość została poprawnie zweryfikowana. Po raz kolejny mógł odbyć rytuał wymiany sztucznych uśmiechów z recepcjonistką, ochroniarzem i przypadkowymi pracownikami biura. Wszyscy szukali na korytarzu wymówki, by maksymalnie opóźnić dzień pracy. To ich Henry nie znosił najbardziej, bo w poszukiwaniu dla siebie pretekstów często wpadali na pomysł, by zepsuć mu od rana humor jakąś bezpłciową pogawędką. Gdy tylko mógł, przenikał do swojego pokoju wpatrzony w podłogę, udając w pełni oddanego pilnym sprawom największej wagi. Nie cierpiał swojej pracy, ale nigdy nikomu tego nie powiedział.

– Znowu szedłeś piechotą? – zapytał Fray, jedyna osoba w dziale jeszcze niezaklasyfikowana przez Henry’ego do grona natrętnych. Tymi pustymi słowami jednak, niczym formalnym podaniem, chłopak załatwił sobie miejsce w odpowiedniej szufladce.

– Znowu szedłem piechotą – odpowiedział Henry dokładnie tak, jak zawsze, gdy słyszał to samo, drętwe pytanie.

– Mógłbyś chociaż ubrać coś exo. Nie musiałbyś rozbierać się w pracy prawie do naga.

– No tak, mógłbym, ale nie mam nic przeciwko suszeniu ubrań na poręczu fotela, a poza tym exomateriały drażnią moją skórę – zażartował Henry i szybko dodał: – Wybacz, ale mam pilne dokumenty do wysłania.

Nie miał żadnych pilnych dokumentów do wysłania, ale żwawo ruszył przed siebie korytarzem cierpienia, prezentując wszystkim sztuczny uśmiech. Rankiem było mu znacznie trudniej ukryć swoją prawdziwą twarz człowieka z obrzydzeniem patrzącego na świat. Później, gdy już oswoił się z biegiem kolejnego, nudnego dnia, bez problemu będzie przykrywał sarkazmem i zwinnymi żartami awersję do współpracowników i tego, co sobą reprezentują.

Humor był do tego idealny. Henry posługiwał się nim jak maską, skuteczną, ale zniechęconą, bo daną mu na wieki przez złośliwą naturę. Wyglądał po prostu niedojrzały. Duże rozstawione uszy, jasne włosy, niebieskie oczy i ułożone w wieczny uśmiech zmarszczki mimiczne obracały w żart każdą jego poważną wypowiedź. Miał trzydzieści dziewięć lat i szczerze tego nienawidził. Wiedział doskonale, że za śmiechem współpracowników kryje się ciche współczucie. Był pewny, że gardzili nim, bo nie założył rodziny, bo nigdy nic nie osiągnął, bo nie chciał z nimi chodzić do kina, bo mylnie zakładali, że miał skłonności introwertyczne. To ich obarczał winą za wyhodowany w sobie strach przed patrzeniem innym prosto w oczy. Zawsze unikał tego kontaktu, nie potrafiąc utrzymać porozumiewawczego spojrzenia dłużej niż kilka sekund. Coś go wtedy przerażało, dławiło, wręcz dusiło.

W obronie stosował sarkazm, z którego powodu dostawał łatkę pesymisty, choć wcale nie miał takiego nastawienia. Wręcz przeciwnie, był pozytywnym idealistą – wierzył w odrodzenie i ocalenie ludzkości. Do tego gdzieś w głębi czuł, że kiedyś osobiście się do tego przyczyni. O sobie myślał, że jest filozofem. Uwielbiał spędzać czas w fotelu, z kawą, pozornie nic nie robiąc, a jednak w głowie prowadząc dyskursy na największe tematy. Zawsze uważał, że wszyscy tak mają i dopiero niedawno, tuż przed czterdziestką, dotarło do niego, że jest w błędzie. Większość ludzi całkowicie oddawała się swojej pracy lub rodzinie i nigdy nie zwracała sobie głowy wielkimi kwestiami. No chyba, że była mowa o nowych doniesieniach dotyczących dziwnego zachowania Słońca. Wtedy każdy chciał wtrącić swoje trzy grosze. Henry nie miał wyrobionego zdania na ten temat, bo uważał, że ludzie nie są w stanie kontrolować gwiazdy, a prywatnie nie wierzył w pozaziemskie ingerencje. Raczej przychylił się ku teorii o naturalnym pochodzeniu zjawiska pulsacji Słońca.

Z głową pełną przypadkowych myśli dotarł w końcu do swojego biura, gdzie mógł zetrzeć z twarzy uśmiech i przekląć swoich współpracowników. Mokry od deszczu, zaczął się rozbierać, zaczynając od

spodni, które wilgotne zawsze go obrzydzały. Gdy już uwolnił jedną nogę, usłyszał pukanie i dźwięk odsuwanych drzwi.

– Henry, słyszałeś, co się stało?! – krzyknęła Helen u progu.

To była jego asystentka lub sekretarka, tego Henry do końca nie wiedział, ale czuł, że w pewien magiczny sposób bez niej Agencja by się dosłownie rozpadła. Zawsze zabiegana, ciągle z jakimś zadaniem, z pośpiechem w głosie i matczynym poganianiem, napędzała biurokratyczne mechanizmy, utrzymując na swoich barkach niemal cały Wielki Plan. Henry nawet nie wiedział, ile ma lat, choć pracował z nią od początku. Jej bujne loki zawsze przypominały mu znieawidzoną nauczycielkę z dzieciństwa, ale Helen lubił. Pracowitością i uprzejmością nadrabiała ignorancję i nie za wysoki iloraz inteligencji. To cenil w niej najbardziej.

– Co się dzieje? – zapytał, kołysząc się na jednej nodze, próbując ściągnąć mokre spodnie.

Kobieta zamarła, oślepią widokiem gołych ud, i odwróciła wzrok.

– Przepraszam. – Była jednak zbyt podekscytowana, by poczekać, aż jej przełożony się ubierze. – Właśnie podali, że śmigłowiec Nihama Santego się rozbił. Podobno nie żyje! – oznajmiła z mieszanką strachu i zawstyżenia w głosie.

– Niham Sante nie żyje? – odruchowo zapytał Henry i zamarł pochylony ze spodniami przy kostkach. Nigdy nie uważał go, tak jak inni, za wybawiciela ludzkości, ale doskonale wiedział, jak ważny był dla realizacji Wielkiego Planu.

– Tak mówią w sieci. Co będzie teraz z Wielkim Planem? – zawodziła Helen, rozpalona niesprecyzowanymi emocjami, u których podstaw leżała słodka bezmyślność.

– Nie wiem, nie wiem. Zostaw mnie, proszę – polecił Henry, zdejmując w końcu przemoczone spodnie. Gdy się wyprostował, kobiety już nie było. To właśnie w niej lubił: posłuszeństwo do przesady, a czasami nawet ponad nią. – Jak można być aż tak uległym? – mruknął pod nosem, rzucając nasączone wodą ubranie w kąt biura. Z zamaskowanej w ścianie szafy wyciągnął nową parę spodni, przygotowanych na taką sytuację. Włożył je i z oddechem ulgi usiadł w czarnym, klasycznym fotelu. Nareszcie został sam z fascynującym tematem do rozmyślań.

– Sante nie żyje – powtórzył głośno i się odchylił, chwytając wzrokiem niechlujnie pomalowany kawałek sufitu, na którym przebiegała sadź pożaru sprzed prawie dwóch lat. Myśli same wskakiwały mu do głowy, napędzając monolog. – To Sante zaplanował budowę Floty, to on wynalazł nowy napęd i doprowadził do współpracy narodów po Kryzysie Słonecznym. Bez niego Wielki Plan nie będzie już tak wielki. Jeśli faktycznie zginął, to cały proces transformacji gospodarczej stoi pod znakiem zapytania. Co będzie z Flotą – debatował nagle rozproszony światłem na biurku, które oznaczało, że czeka go rozmowa. Adler, dyrektor Agencji Nadzoru Sieci, miał dla niego kolejne zadanie. Henry prawie nigdy nie rozmawiał ze swoim szefem i nawet, kiedy ten przekazywał mu polecenia, był to raczej monolog niż jakakolwiek dyskusja. Wziął głęboki oddech, szybkim ruchem przechylił blat biurka w swoją stronę i dotknął dwoma palcami powiadomienia, by uruchomić rozmowę.

– Panie dyrektorze – powiedział i zamilkł, wiedząc, że nic więcej już nie zdąży dodać.

– Spore zadanie, Henry – mówiła wielka, wyświetlona na całej powierzchni blatu głowa. – Słyszałeś o wypadku? Pewnie, że słyszałeś, to gorący news. W każdym razie to czysty przypadek, ale musisz sprawdzić zgłoszone naruszenie prawa w firmie Santlite. Mogą mieć tam spore zamieszanie, ale właśnie dlatego wszystko ma być zgodnie z procedurami. Masz dostęp drugiego poziomu. Reszta jest we wstępnym raporcie. To tyle – zakończył dyrektor i rozłączył się, zanim ostatnie jego słowo zdążyło w pełni wybrzmieć.

Przez głowę Henry'ego przeleciała myśl, że mogła to być wcześniej nagrana wiadomość, a nie telekonferencja na żywo. Szybko jednak skupił uwagę na powierzonym mu zadaniu, które było tak absurdalne, że aż zakrawało na żart.

– Mam przeprowadzić kontrolę w firmie Santego w dniu, w którym zginął? – powiedział na głos, podsumowując, niby kontrolnie, usłyszane słowa. – Do tego dają mi drugi poziom dostępu – stwierdził z przebijającą w głosie dumą, którą szybko zastąpił stres. – No tak, takie zbiegi okoliczności nie mają miejsca. Ewidentnie ktoś mnie wciąga w swoją grę. Tylko dlaczego mnie? Przecież jestem jednym z wielu. Nie wyróżniam się. Może właśnie dlatego? Może szukają kozła ofiarnego? – pytał pusty blat biurka, w myślach mnożąc wątpliwości, a im więcej ich miał, tym większe ogarniało go zdenerwowanie. – A dzień mógł być taki spokojny – stwierdził i westchnął.

Henry pracował w Agencji Nadzoru Sieci, która miała dbać o poprawne wykorzystanie systemów SAPA w dużych firmach. Od 2110 roku wszystkie organizacje posługiwały się tym rozwiązaniem do

zarządzania całością swojego zaplecza technologicznego. Jednak w rzeczywistości Henry prowadził głównie sprawy związane z nielegalną dystrybucją materiałów chronionych prawami autorskimi, włamaniami na konta społecznościowe czy nawet pornografią. Czasami trafiał większe afery, jak spór dwóch firm: Galanx przeciw Yui Droan o kradzież projektów architektonicznych wartych pięćset pięćdziesiąt milionów amero. Miał wtedy dostęp na poziomie drugim do sieci tych gigantów i przez chwilę był w centrum uwagi całej Agencji.

Takie sprawy jednak rzadko się zdarzały, dlatego wątpliwości w głowie Henry'ego narastały z każdym kolejnym zdaniem czytanego wstępnego raportu. Chodziło o udostępnienie rządowych danych obcej firmie, Floyd Industries z siedzibą w Europie. Zgłoszenie było anonimowe, a sprawa raczej nie miała dużej wagi. „Po co mi więc dostęp na poziomie drugim?”, pomyślał, ale żadna błyskotliwa odpowiedź nie przyszła mu do głowy. Z tej nieplodnej ciszy wyrwało go pukanie do drzwi. Doskonale wiedział, kto czekał przed jego biurem, bo w całym budynku tylko Helen stosowała ten staroświecki sposób oznajmiania swojej obecności. Henry nigdy nie dowiedział się, dlaczego to robi, ale dziś naszała go ogromna pokusa, by o to zapytać.

– Proszę! – zawołał.

– Mam dla ciebie nowy identyfikator – powiedziała Helen już w progu drzwi, jak gdyby żadne jej zdanie nie mogło poczekać, aż wejdzie do środka.

– Helen, powiedz mi, dlaczego wciąż jeszcze pukasz do drzwi? – zapytał Henry, podnosząc dłoń, na której od nadgarstka do pierwszego stawu palca wskazującego pojawiła się linia zdradzająca wbudowany biomechanizm. Wąska płytką pokryta syntetyczną skórą odskoczyła, ujawniając wyżłobienie w dłoni, gdzie tkwił identyfikator. Henry wyciągnął z otworu starą kartę i oddał ją sekretarce.

– Przecież wiesz, mówiłam ci już dawno temu. Przyzwyczaiałam się do tego, bo tak zostałam nauczona – tłumaczyła kobieta, podając mu nowy egzemplarz identyfikatora. – Czy wolisz, żebym nie pukała? – spytała, zatroskana o wygodę pracy swojego przełożonego.

– Nie, nie, nie – zaprzeczył Henry i wstawił wąski przedmiot w dłoń, delikatnie dociskając płytkę, która wskoczyła na miejsce i zlała się ze skórą. Wszyscy pracownicy posiadali zintegrowane identyfikatory. Tego wymagały przepisy armii, do której formalnie należał każdy inspektor i sekretarka w Agencji. – Przepraszam, nie pamiętałem i nie, nie musisz nic zmieniać. W zasadzie to dobrze, że ktoś jeszcze pamięta o takich tradycjach, nawet jeśli to tylko drobiazgi – mówił, płynnie ruszając palcami, by upewnić się, że dłoń funkcjonuje poprawnie.

– Też tak myślę – z uśmiechem przytaknęła Helen i zaraz zmieniła wyraz twarzy, dodając: – To straszne, co się stało.

– Co mówią w sieci?

– Trudno o konkrety, bo każdy mówi co innego. Ktoś nawet sugerował, że to zamach, ale władze dementują te pogłoski. Przewodniczący ZN właśnie przemawia i słucham go sobie w przerwach. – Kobieta opowiadała z przejęciem, które zdradzało, że już długo szukała kogoś, z kim mogłaby na ten temat porozmawiać.

– A ty co myślisz?

– Nie wiem, wolę o tym nie myśleć. Poczekam, aż zakończą śledztwo. Martwi mnie tylko, co teraz będzie z Wielkim Planem.

– Wiesz, że dostałem zadanie kontroli w Santlite? – oznajmił Henry, ciekawy reakcji prostej kobiety, której słowa był w stanie niemal całymi zdaniem przewidywać.

– Naprawdę? Dzisiaj? To chyba nie najlepszy moment?

– Nic na to nie poradzę. Dali mi zadanie, to je wykonam. Helen, zaplanuj mi lot do Nowego Jorku jak najszybciej.

– Rozumiem – potwierdziła kobieta i zniknęła za drzwiami, zanim Henry zdążył podziękować. W bezwarunkowym posłuszeństwie prawdopodobnie znajdowała stabilność, która pozwalała jej unikać przytłaczających umysł dylematów. Prostota była dla niej bronią w walce z niepewnością dnia następnego i wielu oddałoby dużo za taką właśnie cechę.

Henry odwrócił się do szklanej przyciemnionej ściany i dotknął jej dwoma palcami.

– Ekran, natnews – polecił. Na powierzchni wyświetlił się trzydziestocalowy obraz.

Prezenterka telewizji stała naprzeciwko siedziby firmy Santlite, relacjonując katastrofę i walcząc z silnym październikowym wiatrem.

– ...jak zginął. Wiadomo natomiast że to może być potężny cios dla wdrażanego od około roku Wielkiego Planu – recytowała z pamięci wyuczony tekst. – Kto będzie nowym koordynatorem budowy Floty? Kto zasiądzie w fotelu lidera Santlite? W tej chwili trudno odpowiedzieć na te pytania. Na razie wszyscy chcą wiedzieć, jak i dlaczego zginął najpopularniejszy człowiek na Ziemi.

– Jak zawsze nudzą. – Henry przerwał transmisję. Dotknął znowu ściany. – Szukaj; wypowiedzi, fraza; Sante, filtruj; najnowsze. – Na czarnej powierzchni zaczęły pojawiać się urywki z dyskusji, komentarzy i artykułów.

Sante sterował całym ZN, dobrze, że go zabili – wychwytywał wzrokiem przypadkowe fragmenty.

Ja myślę, że zginął, bo za dużo wiedział o projekcie destabilizacji Słońca.

...słyszałem, że to jego asystent go zabił...

Ludzie, wypadki się zdarzają, to nie musiał od razu być zamach...

W końcu go dopadli i pomścili zniszczenie ekspedycji kosmicznej z 2112 roku.

...zabili go Amerykanie, na pewno. Pierdolone...

...pieprzyć go, to pozer był...

...smutno...

Co dalej?

Henry oderwał wzrok od ściany. Odwrócił się w stronę biurka, by znów zajrzeć do raportu z popełnienia przestępstwa przez firmę Santlite. Szybko znalazł interesujący go fragment. *Niham Sante przekazywał regularnie tajne dokumenty firmie Floyd Industries, w tym fragmenty raportów z wyprawy amerykańskiej floty poza układ słoneczny* – przeczytał i zamknął oczy.

Zbyt wiele faktów, za dużo informacji napływało naraz do jego głowy, zagłuszając to, co było naprawdę istotne. Zdecydował się skupić na przygotowaniach do pracy, a rozmyślenia zostawić na czas lotu do Nowego Jorku. Na blacie biurka rozpoczął swoją symfonię poleceń i szybkimi gestami aktualizował pakiet oprogramowania służącego do wykonywania zadań. To było jedyne, co w ANS sprawiało mu jakąkolwiek przyjemność. Tworzenie i praca z botami SI. Te rozumiał, te działały płynnie i efektywnie, a przede wszystkim nie marnowały jego czasu, jak większość ludzi, których na co dzień spotykał. Wraz z informacją o czekającym go locie zakończył przygotowania. Uwielbiał, gdy sprawy się tak układały, dając mu poczucie dobrze wykorzystanego dnia.

Godzinę później wyleciał z New Hampshire, gdzie mieściło się biuro ANS, do Nowego Jorku – miasta siedziby głównej Santlite. W samolocie ściągnął z szyi szal, który był jego podręcznym komputerem, położył go na kolanach, usztywnił i dodał kolejny wpis na bloga. Poza pracą Henry lubił pisać. Publikował głównie rozprawy filozoficzne na tematy tak ogólne, jak moralność społeczna czy etyka wojny. Poruszał też sprawy bieżące, czasami pisał wiersze i miał kilka tysięcy śledzących. Zawsze posługiwał się pseudonimem „Demastos”, dbając o to, by nikt w sieci nie dowiedział się, że to on. Tym razem napisał: *Zmierzam ku siedzibie największej firmy na świecie, by poznać prawdę kryjącą się za śmiercią Nihama Santego*. Uwielbiał tajemnice i taki sposób komunikowania, bo odzwierciedlało to jego osobowość. Przynajmniej tak uważał. Zanim doleciał do Nowego Jorku, miał już dwustu nowych fanów.

Wprost z samolotu wszedł do windy magnetycznej, która z lotniska zabrała go do siedziby firmy Santlite w dwadzieścia jeden sekund. Henry wciąż nie mógł przyzwycząć się do tego dziwnego doznania, które wywoływała różnica między tym, co widzą jego oczy, a tym, co czuje rozpędzone ciało. W środku przezroczystej tuby miał wrażenie, jakby był astronautą w próżni. W kompletnej ciszy podróżował z prędkością 1500 km/h i obserwował rozmywające się za oknem bezkształtne kolory. Tym środkiem lokomocji niewiele podróżował, bo nigdy mu nie ufał. Wolał go unikać, podobnie jak mnóstwo ludzi, którzy byli święcie przekonani, że to właśnie windy magnetyczne wywołały Kryzys Słoneczny. To była oczywista bzdura, ale plotki rozchodziły się błyskawicznie. Przez długie miesiące po ponownym uruchomieniu tej formy komunikacji nikt z niej nie korzystał. Zaufanie do wszelkiej technologii drastycznie spadło po 2112 roku, gdy Słońce w jednej chwili wypaliło prawie każde urządzenie na planecie, zabijając miliony osób z wszczepionymi biomechanizmami. Oprócz niegroźnej wstawki w dłoni Henry ich nie miał i to uratowało mu życie.

Lekko oszołomiony podróżą, trochę jak po przekroczeniu w jednej chwili kilku stref czasowych, wysiadł z kapsuły. Ta natychmiast ruszyła z maksymalną prędkością, znikając z oczu w magicznym triku załamanych praw fizyki. Henry stał na placu przed siedzibą firmy Santlite. Zanim zdążył się rozejrzeć, usłyszał za plecami chrząknięcie, a potem miły, ciepły, młody głos.

– Witam serdecznie, jak podróż? – zapytał na oko dwudziestokilkuletni mężczyzna z głupkowatym uśmiechem na młodziutkiej twarzy. Stał na baczność, niczym żołnierz na warcie.

– Bez problemów. Proszę mnie zaprowadzić do głównego komputera firmy – zażądał Henry, jak zwykle unikając kontaktu wzrokowego. Zastanawiał się, dlaczego w ogóle ktoś po niego wyszedł. Nie było takiej potrzeby ani wymogów.

– Nie chce pan najpierw porozmawiać o sytuacji? – zapytał mężczyzna, wyraźnie zaskoczony postawą inspektora. Ubrany w standardowy biznesowy garnitur już zdążył znaleźć sobie miejsce na liście ludzi upierdliwych.

Henry nie znosił dress code'ów, zwłaszcza w sferze korporacyjnej. W połączeniu z beztruską miną i formalnym ubiorem towarzysząca mu postać już po chwili irytowała go do granicy nienawiści.

– Pracuję z komputerami, nie z ludźmi. Moim zadaniem jest poznać prawdę, w jaki sposób została wykorzystana sieć. Prawnicy będą rozmawiać później, jeśli zajdzie taka potrzeba – tłumaczył z pełnym profesjonalizmem i dumą inspektora z drugim poziomem dostępu. Mówił pewnie, z nieskrywaną przyjemnością i nie czekał na odpowiedź. Ruszył w stronę panelu powitalnego firmy Santlite mieszczącej się w kompleksie trzech stojących tuż obok siebie wieżowców połączonych jednym wejściem. – Centrum komputerowe – powiedział naprzeciw potężnego bloku, który jak wielka płyta nagrobna sterczał na środku placu. Monolit wyświetlił miłą kobiecą twarz o niebieskich oczach i długich brązowych włosach.

– Drugi budynek, trzydzieste czwarte piętro, sale od siódmej do dwudziestej pierwszej – wyrecytowała informację postać, odwracając się w swoim wirtualnym świecie i wskazując palcem drogę, jak dziecku w szkole. – Wymagany jest dostęp minimum pomarańczowy – dodała i uraczyła Henry'ego uśmiechem, na który ten zareagował najpierw zawstydzeniem, a później parsknięciem pogardy i komentarzem: – Co za głupota. – Podążył za wyświetloną na placu linią prowadzącą do wejścia kompleksu.

Obcy mężczyzna jak cień wędrował tuż za nim, próbując dogonić rozpędzonego inspektora.

– Ja pana zaprowadzę – zaproponował już w środku holu, przy drzwiach windy.

– Kim jesteś? – zapytał Henry, nie mogąc uwolnić się od postaci.

– Wigger Anders, mam trzydzieści jeden lat – odpowiedział mężczyzna. – Wiem, że wyglądam na młodszego – dodał z uśmiechem zakłopotania.

Faktycznie, delikatna twarz chłopca nie zdradzała wieku. Błękitne rozmarzone oczy, blond włosy i brak zarostu sugerowały, że gdzieś w siedzibie ma własną fontannę młodości.

– Po co cię wysłali? – dociekał Henry, ukrywając przed nim zaskoczenie.

– Niham Sante mi kazał – mówił mężczyzna, wchodząc razem z inspektorem do windy.

– Jak to, kiedy?

– Jestem... – zaczął Wigger – to znaczy byłem osobistym asystentem Nihama. Gdy tylko wyszło na jaw, że będzie śledztwo, dostałem od niego polecenie, by przyjąć inspektora osobiście.

– No tak, Sante musiał być ciekawą postacią, jeśli zajmował umysł tak błahymi sprawami – uraczył go sarkazmem Henry. Wzrok skupiał na drzwiach windy i wielkich cyfrach sygnalizujących pokonane piętra.

– To był wyjątkowy człowiek.

– Co myślisz o jego śmierci? Wypadek, zamach?

– Trudno powiedzieć. Na pewno ostatnie tygodnie były znaczące. Niham czuł się zarówno podekscytowany, jak i przerażony. Mówił dużo o Wielkim Planie – opowiadał z przejęciem Wigger.

– Wydarzyło się coś wyjątkowego?

– Nie wiem, może. Teraz myślę, że chyba nie żartował, gdy mówił o wielkim odkryciu, które zmieni świat.

– Wiesz, co to było? – zapytał Henry, budząc w sobie ciekawość.

– Nie, skąd, ale utkwilo mi jedno zdanie, które wypowiedział: „Będziemy panami wszechświata i to szybciej, niż nam się wydaje” – zacytował Wigger. – Myślałem, że to żart, bo był wtedy po paru głębszych i często wygłaszał patetyczne monologi, ale teraz... – Mężczyzna przerwał, bo na drzwiach windy wyświetliła się znana z placu kobieca postać w kwiecistej sukni. Jej lekkość, koloryt i abstrakcyjność nienaturalnie przełamwały odcienie szarości budynku.

– Jesteśmy na trzydziestym czwartym piętrze – oznajmiła z zamyśleniem do swojej pracy. – Zapraszam do sal komputerowych – dodała, znikając razem z drzwiami i odsłaniając korytarz

zakończony wielką błyszczącą chromem śluzą. Potężne wrota rozsunęły się, ujawniając kolejną, żółtą, w połowie przezroczystą bramę. Ta też ustąpiła. Ciemna sala migała czerwonymi światełkami.

– Chętnie jeszcze z tobą porozmawiam – mówił z oczywistą złośliwością Henry – ale najpierw praca. Kod drugi dostępu pozwala mi bez nadzoru przeglądać zawartość serwerów. Tak więc żegnam – zakończył i ruszył przed siebie, kątem oka obserwując, jak skonfundowany mężczyzna znika za drzwiami windy, mówiąc coś do ściany, na której najpewniej znów wyświetlała się tajemnicza postać.

Salę komputerową wypełniały długie, niepozorne bloki zdradzające aktywność mrugającymi lampkami. Choć Henry widział już takich pomieszczeń tysiące, zawsze przekraczał ich próg z dreszczykiem obaw. Miał wrażenie, że wchodzi do klatki lwa, który uśpiony wciąż jednak czuwał, gotowy w każdej chwili pożreć całą ludzkość. Podczas wielu dyskusji o przyszłości często dochodził do wniosku, że właśnie w tego typu salach kiedyś nastąpi technologiczna osobliwość.

„Praca” – pomyślał, starając się skupić na swoim zadaniu. Szybko znalazł główny panel komunikacyjny, przystawił do niego rękę z identyfikatorem i po chwili przeglądał hologram kontrolny z dostępem do milionów plików zapisanych na dyskach serwerowni. Wreszcie mógł zapuścić boty SI i obserwować wizualizacje bitowych miriadów danych. Samo przygotowanie systemu do kontroli zajęło mu prawie godzinę, ale porządek i poprawność wszystkich czynności były nie tylko wymogiem Agencji, ale też niezbędne dla Henry’ego, który nie znosił bałaganu i wrażenia, że mógł coś pominąć. Po kolejnej godzinie fakty zaczęły się składać.

Santlite prowadziło regularną wymianę plików z firmą Floyd Industries. W przeważającej części były to dokumentacje budowanych okrętów i plany strategiczne dla Floty. Pewną część stanowiły też raporty wojskowe dotyczące uzbrojenia lub personelu. Na wszystkie Santlite miało pozwolenie, ale przy kilku z nich nastąpiło naruszenie niedawno zmienionych zapisów w ustawie o modernizacji i relokacji struktur armii, lotnictwa i floty morskiej. Henry nie do końca wiedział, gdzie kryło się wykroczenie, bo dotyczyło takich niuansów, że gdyby nie boty, nigdy by go nie zauważył. Nie sądził też, że akurat to kompletnie nieistotne naruszenie zapisów mówiących o standardach oznaczeń mundurów mogło być przyczyną otrzymanego przez ANS zgłoszenia.

Szukał dalej, ale przez kolejną godzinę nic nie znalazł. Nie dotarł też do wspomnianych w raporcie informacji rzekomo przekazanych firmie Floyd Industries. Sfrustrowany brakiem rezultatów wrócił do poprzedniego odkrycia i ponownie zaczął przyglądać się przesłanym bez uprawnień raportom wyposażenia wojskowego. Był tak skoncentrowany na szczegółach, że nie dostrzegł najbardziej oczywistej wskazówki. Naruszające ustawę pliki zostały sformatowane w systemie PoST, a wojsko od czasu Kryzysu Słonecznego nie używało takiego rozwiązania. Raporty były więc bardzo stare albo celowo ktoś wykorzystał tę metodę zapisu. Po co? Tego Henry jeszcze nie wiedział, ale nie takie zagadki już rozszyfrowywał prowadzony zawsze do celu ciekawością i wyzwaniem. Z takim podejściem było tylko kwestią czasu, by tajemnica ujrzała światło dzienne.

Trzydzieści minut później Henry był już na zewnątrz wyprowadzony przez miłą wirtualną panią. Nie spotkał Wiggera ani też nikogo innego, kto zechciałby zadać mu jakiegokolwiek pytanie o wynik śledztwa. To go ucieszyło, bo wiedział, że nie zdołałby ukryć bladej z przerażenia, trupiej twarzy. Odkrył coś, czego nie chciał dotykać, jak poparzone, żałujące zabawy z ogniem dziecko. Gdyby tylko mógł, wymazałby tego pamięć, ale było już za późno. Odszyfrowana wiadomość wgryzła się w jego umysł jak trucizna, wypełniając krwiobieg strachem. Maszerując przez nieskończony plac przed siedzibą Santlite, powtarzał sobie: – Muszę usunąć historię tego śledztwa, muszę usunąć historię tego śledztwa. – Nie wiedział jednak czy jest to możliwe. Miał oprogramowanie, które wyczyściłoby zapis jego identyfikatora, ale całość i tak jest transmitowana w czasie rzeczywistym do centralnego komputera Agencji. „Jutro Adler zechce sprawdzić przebieg mojego śledztwa” – pomyślał i pobladł jeszcze bardziej.

Był tak przerażony, że powrotna podróż windami nie potrafiła przykryć dyskomfortem jego paniki. Chaotyczne myśli, napędzane wyostrozonymi zmysłami, nie pozwalały mu się skupić na najprostszych czynnościach. Cały czas towarzyszyło mu przerażające uczucie bycia obserwowanym. Miał wrażenie, że za chwilę usłyszy tupot wojskowych butów na lotnisku i poczuje smak betonu, gdy impuls zetnie go z nóg. W głowie tliła mu się już gotowa teoria. Był ofiarą spisku – kozłem ofiarnym wysłanym, by odkryć tajemnicę Santlite w nieznanym mu celu, i teraz, gdy już odegrał swoją rolę, gdy prawda powędrowała do serwerowni Agencji, jest zbędny. Jeśli nie dziś, to jutro zginie w płomieniach mieszkania lub na zawał serca z powodu wady genetycznej, której nigdy nie miał, a która nagle

znajdzie się w całej jego medycznej historii. Ewentualnie w wyniku nieszczęśliwego wypadku zostanie zgnieciony przez spadającą ścianę budynku. Nie wiedział jeszcze, jak zginie, ale do tego stopnia był już o tym przekonany, że przez chwilę wyobrażał sobie pocisk, który właśnie dogania jego samolot, by zestrzelić maszynę razem ze wszystkimi pasażerami i na zawsze uciszyć niewygodnego świadka. Układając sposoby swojej śmierci, od najbardziej prawdopodobnych do tych najefektowniejszych i uwzględniając nawet widowiskowość, uruchomił swój podręczny komputer i zapisał na blogu: *Czasami prawda jest kłamstwem*. Potem ręce mu zamarły i całą drogę siedział w bezruchu, czekając na wybuch.

Ten jednak nie nastąpił, i gdy Henry znalazł się w domu, w pierwszej kolejności przekopiował treść odkrytej wiadomości na prywatny komputer i usunął ją z identyfikatora. Od razu tego pożałował, bo nie miał już możliwości jej przywrócić. Wyświetlił na ścianie rozkodowany przekaz, który był jak dowód największej zbrodni, zakrwawiony nóż w dłoni, przepowiednia mrocznych czasów i okrutna prawda o gnijącym świecie. Od samego patrzenia na te słowa czuł się, jak skazaniec w dniu swego stracenia, żywy trup, który nadmierną ciekawością i mimowolnym odczytaniem paru słów wydał na siebie wyrok.

Henry krążył po całym mieszkaniu, myśląc albo o wiadomości, którą odkrył, albo o tym, w jaki sposób przyjdzie mu umrzeć. Nagle poczuł silne uderzenie serca, bo zrozumiał, że zachował się po amatorsku. Na jednej ze ścian jego domu, niczym krwią napisane, wyświetlone były najstraszliwsze słowa, a on nawet nie zasłonił okien. Szybką komendą „Dom: tryb prywatny” sprawił, że wszystkie szyby czerniały, a drzwi zostały zaryglowane. Był bezpieczny, ale tylko przed wścibskim wzrokiem sąsiadów. Pogodzony z nieuniknioną zagładą, wykrztusił wiadomość obcym sobie głosem:

– Proces synchronizacji został zakończony. Od teraz Wigger Anders dysponuje mentalnym więzieniem z artefaktem i ma pełną kontrolę nad zachowaniem Słońca. Proces pulsacji gwiazdy nie został naruszony, a test broni zakończono pomyślnie. Plan trwa.

Gdy tylko skończył czytać, wystrzył słuch, zamknął oczy i napiął mięśnie gotowy na szturm żołnierzy, którzy już za drzwiami przygotowywali się do ataku. Przez chwilę słyszał delikatne ultradźwięki latającego nad domem szpiegującego drona, a interaktywna sieć budynku, był o tym przekonany, już dawno przesyłała jego obraz do mobilnego centrum dowodzenia sił specjalnych. Mijały kolejne minuty, a cisza grała rytmem wciąż płynącej krwi.

– Czyli jeszcze nie wiedzą – wyszeptał, uruchamiając w głowie lawinę myśli. „Kto wysłał tę wiadomość? Wigger Anders ma kontrolę nad Słońcem? Czy Santlite od początku kontrolowało naszą gwiazdę? Jeśli celowo wywołali Kryzys, to po co, co z tego mają? Dlaczego on? Dlaczego teraz? Czy to Sante wysłał tę wiadomość przed śmiercią, czy wiedział, co dzieje się w jego firmie...”.

Henry podszedł do ściany, gdzie nadal straszyla odkryta wiadomość, i obok niej wywołał dwoma palcami ekran telewizji. Trafił na przemówienie jakiegoś polityka, najpewniej członka Zgromadzenia Narodowego w jednej z tysięcy suborganizacji w nim powstałej. Mężczyznę rozpałało własne przemówienie, bo podnosił głos, jakby był pełen niepotrzebnej i nie wiadomo w kogo wycelowanej nienawiści.

– To, co się dziś stało, nie wpłynie na realizację Planu! – krzyczał polityk, żwawo gestykulując. – Nie zatrzyma go, nawet nie zwolni! Niham Sante był pionierem budowy Floty, to prawda, i naszym liderem, bez wątplenia! Jego śmierć to katastrofa, ale Plan trwa!

Na te słowa Henry aż zadrżał i na chwilę stracił kontakt z rzeczywistością, gubiąc część wypowiedzi mężczyzny, który zdążył zmienić nastawienie. Teraz mówił zimnym, w pełni kontrolowanym tonem tyрана, materialisty, wroga.

– ...ruszy proces relokacji sił pracowniczych kolejnej gałęzi naszej gospodarki. W najbliższych dniach zakończymy przestawianie przemysłu samochodowego na rzecz budowy Floty. Produkcja materiałów potrzebnych do tworzenia wewnętrznego poszycia okrętów wzrośnie o tysiąc dwieście procent. Dzięki temu będziemy mogli wreszcie ruszyć z planem budowy kolejnej frakcji Floty Zachodniej. To niebywałe, ale tak jak zakładaliśmy, kolejne sześćdziesiąt okrętów właśnie opuszcza sale projektowe i rodzi się w halach na całym świecie! Śmierć jednego człowieka nie powstrzyma Planu! – zakończył rozpalonym głosem mężczyzna, znów uwalniając aurę niesprecyzowanej nienawiści. Jego emocje rozeszły się po całej sali obrad, a oklaski i okrzyki zagłuszały dalszą wypowiedź, której Henry nie chciał już słuchać. Wyłączył więc ekran i usiadł w swoim ulubionym,

wyartym fotelu na środku salonu. Na przeciwległej ścianie wciąż tkwiła odkryta wiadomość, jakby wyrta dłutem, a nie wyświetlona.

– W jaki sposób Santlite kontroluje Słońce? – zapytał Henry, mocno trzymając się poręczy. – Czym może być artefakt? Czy to jakaś nowa technologia, której twórcą był Sante? Czy wiedział, że zostanie w ten sposób wykorzystana? Nie wierzę, że taki człowiek mógłby być tak zły. Może i był tajemniczy, ale nie żaden władcy, a o to przecież musi chodzić. Jeśli mają kontrolę nad Słońcem i nie chcą przerwać zjawiska pulsacji gwiazdy, która prowadzi do jej zagłady... Dlaczego więc budują Flotę? Po co ratują ludzkość, skoro sami ją niszczą?! Czy chcą zagłady ludzi, czy może jej ocalenia?! – podnosił głos, wciśnięty łokciem w fotel. Scisnął skronie dłońmi, by zerwać łańcuch myśli, które rozpedzone bez jego kontroli przyprawiły go o dreszcze. Próby ich zahamowania nic jednak nie dały. Ciągnął mroczny monolog zmuszany przez własny mózg, obcą istotę, która nie chciała skupić się na niczym innym. – Oni mają plan. Doskonale wiedzą, co robią, i mają też cel. To była jedna wiadomość z wielu. Muszę wrócić do siedziby Santlite i poznać resztę – postanowił.

Henry poczuł zimny pot spływający mu po czole, jak skumulowany w cieczy lęk. Uderzyło go niepokojące pragnienie, by natychmiast zapisać swoje przemyślenia, bo jeśli już wiedzą o jego odkryciu, to wkrótce zginie. „Mam jeszcze czas” – pomyślał i dotknął podłokietnika, by wyświetlić na nim ekran. Uruchomił swój blog i rozpoczął dyktowanie kolejnego wpisu:

– Jestem jak jaskółka, która pierwsza spogląda na horyzont, wyczuwając nadchodzącą burzę. Nie czuję się wybrańcem, nie jestem nikim ważnym, ale wiem, że moje poświęcenie może zmienić świat, może nawet ocalić ludzkość. Ja, jeden z milionów, odkryłem tajemnicę Santlite. Widzę ich prawdziwą twarz, być może twarz potwora. Wkrótce przejrzą ich złowieszczy plan, a wtedy odkryję to kłamstwo świata, by ocalić nas przed zbliżającą się burzą.

Henry pozwolił, by cisza została odnotowana we wpisie i dodał: – *Jeśli tylko mój śpiew będzie wystarczająco głośny.* – Przeczytał zanotowany przez komputer tekst i potwierdził jego publikację. Resztę dnia spędził w domu, zgłaszając w pracy chorobowe.

O siódmej rano zadzwonił budzik. Henry zwał się z łóżka i ruszył do łazienki. Przemysł twarz i wciąż śpiący poszedł do kuchni, gdzie zdążył przygotować sobie kawę, zanim zmroził go atak lęku.

– Na pewno już wiedzą – wymamrotał z drgającym kubkiem w dłoni i spędził kolejne kilka minut, rozważając, czy iść do pracy, czy czekać na nich w domu. Ubrał się z myślą, by dobrze wyglądać na swoim pogrzebie, a potem roześmiał soczyście na myśl, że przecież tacy jak on znikają bez jakiegokolwiek pochówku.

W końcu zrozumiał, że to była tylko chwila słabości, i wpadł w codzienny rytm przygotowań do pracy. Ruszył jak zwykle na pociąg, który zawsze zabierał go do centrum, skąd potem piechotą docierał do biura ANS. Nie lubił kolei, bo siedzący pod ścianami wagonów, równo kołyszący się ludzie wyglądali jak marionetki wiezione do obozów pracy. Ich miny zdradzały wszystko — znużenie, znudzenie i zmęczenie repetytywnością dnia. To symboliczne wspólne i poranne cierpienie zakłócała para nastolatków. Ich śmiechy łamały wyuczony rytuał pogrążenia w apatii mieszkańców New Hampshire, kontrastując go z bezmyślnością następnego pokolenia.

Henry skupił na nich wzrok, przysłuchując się, jak chłopak chwalał dziewczynie swój nowo kupiony exopłaszcz. Ich głupkowatej wymianie zdań towarzyszyły łomoczące dźwięki, które trudno było nazwać muzyką. Tępe, stukające i poszarpane zgrzyty wraz z piskliwymi głosami paru kobiet obrażały gust każdego inteligentnego człowieka. To był zespół Shiza, który Henry znał, bo przez ostatnie lata ich piosenki opanowały umysł każdego maślaka i wcale nie dlatego, że były dobre, a dlatego że nie powstała już żadna inna muzyka. Ta dogorywała, kończąc swoją historię okropną karykaturą sztuki, jaka wypełniała teraz pociąg.

Radośnie bezmyślna rozmowa dzieciaków, przesiąknięta obrzydliwymi stukotami Shiza, irytowała Henry'ego, który pocieszał się faktem, że czternastogodzinny dzień pracy w wielkich robotniczych halach naprostuje ich ignorancję. Było oczywiste, co czeka młodzież za kilka lat. Słyszał już o pomysłach przymusowych robót i przesiedleniach, więc nie zazdrościł im, ale też im nie współczuł.

– Bezmyślne bachory – powiedział cicho i z obrzydzeniem, z całych sił ignorując kołatającą mu z tyłu głowy chęć bliższego poznania z wyjątkowo atrakcyjną dziewczyną.

Henry wysiadł na dworcu głównym i obrał tę samą trasę co zawsze. Opracował ją w każdym kroku, co do pęknięcia w chodniku i ścinanych równo zakrętów. Dzięki temu mógł poświęcić siedemnaście minut i około trzydziestu sekund na wewnętrzny monolog. Dziś jednak męczyła go tylko

jedna, oczywista myśl. By się uspokoić, wędrował wzrokiem po nigdy nieodbudowanych wieżowcach i unikał widoku zdewastowanego parku, do którego nikt nie miał odwagi wejść.

Miasta bardzo szybko przywracano do porządku po Kryzysie Słonecznym, reanimując komunikację i odzyskując najistotniejszą infrastrukturę. Były to jednak zabiegi kosmetyczne, trochę na pokaz, by wzbudzić w ludziach wiarę w niezniszczalność ich cywilizacji. Na każdym kroku jej upadek zdradzały prowizoryczne naprawy, które tylko odsuwały agonię świata w czasie. Wszyscy wiedzieli, że Ziemia nie ma przyszłości. Naukowcy potwierdzili najgorsze obawy już ponad rok temu. Liczyła się więc tylko Flota.

Jesienne przemoknięte pejzaże wypełniały Henry'ego depresją wysysającą z niego chęć rozmyślenia o czymkolwiek. W pracy był trzy minuty przed czasem.

– Dobrze, że już jesteś – powiedział Adler, łapiąc Henry'ego na korytarzu.

Ten spanikował i co gorsza dał to po sobie poznać.

– Wszystko w porządku? – zapytał dyrektor z wnikliwym spojrzeniem.

– Tak, po prostu spałem niewygodnie – tłumaczył się Henry, uśmiechnięty jak zestresowane dziecko do pierwszego w życiu zdjęcia.

– Twój raport z wczorajszego zadania, chciałbym mieć go jeszcze dziś. Im wcześniej, tym lepiej.

– Rozumiem, będzie niedługo.

– Świetnie – skwitował Adler i ruszył dalej, jak gdyby zupełnie stracił zainteresowanie rozmową.

Niczym strzała Henry pognął do swojego pokoju uradowany tym, że nikt go już więcej nie zaczepiał. Spoczął w fotelu gotowy zanurkować w rozmyślaniach. „Czy jeśli zechcę teraz lecieć znów do siedziby Santlite, to będzie to podejrzane?” – zastanawiał się, zauważając, że jego wczorajsze spodnie leżą porządnie złożone na półce pod ścianą. To musiała być Helen. „Czasami inspektorzy wracają, by wyjaśnić jakieś kwestie wykryte przy raporcie. Nic niezwykłego” – tłumaczył sobie w myślach, by nabrać odwagi. Gdy miał jej już dostatecznie dużo, zawołał asystentkę, która przybyła prawie natychmiast, jakby zmaterializowana zaraz za drzwiami. – Helen, muszę znów lecieć do Nowego Jorku, przygotuj samolot – polecił, odgrywając obojętność, jaką z reguły wykazywał w kontakcie ze współpracownikami.

– Dyrektor ci nie powiedział? – odparła zdziwiona Helen.

– Czego?! – krzyknął Henry, jakby wyrwany z sennego koszmaru.

– Nie masz już dostępu, wczoraj został odwołany.

– Dlaczego?

– Nie wiem, ale chyba nigdy nie zostawiają dostępu na drugim poziomie zbyt długo, prawda?

– No tak – potwierdził Henry wtopiony małym zawałem serca w fotel.

Helen miała rację, tak wysoki poziom uprawnień z reguły był przydzielany na dobę, ale to go nie przekonywało. Wierzył, że w Santlite odkryli już jego tajemnicę. Wyprosił kobietę i zaczął chodzić po pokoju, jak lew w klatce, pograżając się w myślach. „Jeśli już wiedzą, to dlaczego pozwolili mi przyjść do pracy? Na pewno mają środki, by szybko mnie zlikwidować. Może boją się reakcji Agencji? Czy to możliwe, że ANS już wie o wszystkim? Czy może rząd z nimi współpracuje? Nie, niemożliwe. Santlite zagraża światu, władze muszą z nimi walczyć i może dlatego wysłali mnie do ich siedziby? Tylko co teraz? Może powinienem od razu pójść do Adlera? Wszystko mu powiedzieć?” – konstruował kolejne pytania, podsycając nimi atak paniki.

Rzucany bezwiednie emocjami po całym pomieszczeniu przystanął, nagle dostrzegając w zniechęconym dyrektorze jedyną spokojną przystań. Jak latarnia na horyzoncie w głowie zaświtał mu blask pewności, że tylko prawdą ocali się od zatonięcia. Decyzja zapadła błyskawicznie. Henry wyskoczył z biura i wbiegł piętro wyżej, gdzie Adler miał swój pokój. Pod jego drzwiami dopadły go nowe emocje i wątpliwości. „A może Adler jest w to zamieszany i chce mnie zrobić? Nie! O czym ja myślę!” – siłował się ze słabościami, próbując jak okręt na wietrze unikać groźnych skał. Machnął dłonią, dając znak, że chce wejść do środka, i zrobił nagły zwrot opętany wrażeniem, że karku dotyka mu zimna lufa karabinu. Już miał krzyczeć, by nie strzelać, gdy zobaczył dyrektora.

– Masz już raport? – dociekał Adler, otwierając szeroko oczy. – Henry, co z tobą? – zapytał, widząc pracownika, który jak kameleon próbuje zlać się z mleczną szybą jego biura.

– Nic, wszystko jest okay! Tylko muszę z panem natychmiast porozmawiać. To pilne!

– W sprawie Santlite?

– Tak!

– Wejdźmy do biura. – Adler wprowadził Henry’ego do pomieszczenia i sam zajął miejsce w przesadnie dużym fotelu z całą masą ulepszeń, którymi uwielbiał się chwalić. Za równie obszernym biurkiem wyglądał jak najważniejsza osoba w całym ZN. – Słucham Henry, o co chodzi? – zapytał, stukając niecierpliwie palcami o drewnianą, zawiniętą jak fala poręcz fotela.

– Panie dyrektorze. Firma Santlite ma sporo tajemnic – oznajmił Henry, czując się przez chwilę jak w kiepskim filmie detektywistycznym. Miał wrażenie, że stoi obok siebie, a głos, który opuszczał jego gardło, wcale do niego nie należał.

– I?

– Oni prowadzą jakieś nielegalne działania! Tak myślę.

– Odkryłeś coś konkretnego?

– Tak jakby – stwierdził Henry. Stał na środku pokoju, a na głowie czuł przeźroczyستی kaptur, który zasłaniał mu widok plutonu egzekucyjnego. Oddychał, jakby każda kolejna porcja powietrza mogła być jego ostatnią.

– Co konkretnie? – zapytał Adler. Nie stukał już w poręcz, tylko wpatrywał się w swojego inspektora, jak wysoki sąd w mordercę. Każde mrugnięcie mogło być rozkazem do strzału lub pociągnięciem cyngla.

– Oni mają kontrolę nad Słońcem! – w końcu wykrztusił z siebie Henry, rozpoczynając lawinę słów. – To oni wywołali Kryzys Słoneczny i być może chcą to zrobić ponownie. Trzeba ich natychmiast powstrzymać! Musimy natychmiast działać! Wigger Anders, asystent Nihama Santego, ma jakiś artefakt, urządzenie, którym kontroluje Słońce, i oni mają plan, by przejąć władzę... – przerwał, by nabrać powietrza i komicznym, piskliwym głosem dokończyć – ...nad światem!

Adler podniósł głowę z rozdrażnieniem oderwanego od posiłku zwierza i samym tylko spojrzeniem sprawił, że Henry podkuliłby ogon, gdyby go miał. – Henry, odbieram ci tę sprawę. Nie pisz już raportu – powiedział z wyuczonym spokojem i zasugerował ręką, że chciałby zostać sam.

– Ale jak to?

– Nigdy więcej nie mów o tej sprawie – szybko wtrącił dyrektor. – Zajmij się kolejną, masz już ją przydzieloną. A teraz idź i nic nie mów – rozkazał, a jego słowa wypełniły pomieszczenie ścianą ognia, która wypchnęła inspektora na zewnątrz nieznośnym skwarem.

Zlany potem, rozgrzany jak płynna stal, Henry pobiegł do siebie, zostawiając za sobą smugę strachu, którą każdy mógł dostrzec, gdyby tylko chciał. W biurze bezmyślnie przejrzał doniesienie o nowym przestępstwie, jakie mu przydzielono, a następnie wyszedł z budynku, choć była dopiero dziesiąta. Identyfikator w ręce na pewno to odnotował, ale nikt go nie zatrzymywał, nawet Helen. Szedł piechotą i walczył z myślami, by te zostawiły go w spokoju. Nie chciał ich, bo sprawiały mu niezlokalizowany ból w głowie. Im bardziej jednak próbował je stłamsić, tym mocniej dzwoniły w jego uszach.

„Adler jest w to zamieszany. Santlite ma go w kieszeni, tak jak pewnie całą Agencję. Kto wie, ile państwowych instytucji jest w ich rękach” – myślał, idąc przed siebie prowadzony przyzwyczajeniem do domu. Teorie spiskowe, jak fale, pchały go ku szaleństwu, zamieniając rozsądek w białą pianę pięknego chaosu. Z toni obłądu wyrwał go dopiero piskliwy głos prezentera popularnego talk-show. Henry spojrzał na publiczny ekran, gdzie mężczyzna w jaskrawym, błyskającym ubraniu gestykulował, jakby atakowało go stado szerszeni. Mówił dziwnym sztucznym dialektem, akcentując prawie każdą sylabę z rozregulowaną intonacją.

– Moi drodzy! Tragiczna śmierć Nihama Santego to był początek szokujących informacji! – dzielił się nowinkami prezenter, próbując wszelkimi sposobami zwrócić na siebie uwagę. – Nie wiem, czy wiecie, ale największa firma na świecie ogłosiła właśnie, że przenosi swoją główną siedzibę i całe zaplecze strategiczne do Europy, by tam skupić się nad budową Floty! To jednak nie wszystko! Kochani, słuchajcie tego. Zgromadzenie Narodowe oddaje do dyspozycji nowego lidera Santlite swoje siły pokojowe, dziewiątą armię świata! Międzynarodowe wojska, które jak wiemy służyły do działań defensywnych, mają przyspieszyć reorganizację miast, gdzie powstają pola tarasowe do budowy okrętów. To pierwsza firma z własną armią! Już widzę te masowe protesty! Ale poczekajcie, to nie koniec, o nie, moi drodzy! Tu dopiero zaczynają się szokujące informacje! Nowym liderem Santlite jest trzydziestoletni Wigger Anders. Czy ktoś w ogóle wie, kto to jest?!

Henry złapał się za serce. Był jak ryba nagle wyjęta z wody. Nie mógł oddychać, ledwo stał i marzył, by już dotrzeć do domu. Szttywno wpatrzony w ziemię maszerował przed siebie, licząc sekundy, które dzieliły go najpierw od dworca, a potem od drzwi wejściowych mieszkania. Dopiero

tam zauważył, że zostawił swój płaszcz w Agencji i przez całą drogę marzył. Nie potrafił skupić myśli, nie wiedział, co ma robić, i marzył jedynie o śnie. Położył się na łóżku, nie zdejmując nawet butów, i zasnął jak dziecko z nadzieją, że gdy znów otworzy oczy, wszystko będzie jak dawniej.

Henry zawsze twierdził, że świat daleki jest od ideału. Nie akceptował zmian, nowych technologii, tempa życia i wszechobecnego próżnego nastawienia. Był odizolowany, samotny, nigdy się nie ożenił, a rodzina dawno o nim zapomniała. Nie miał nawet psa, bo wiedział, że praca pochłania mu za dużo czasu, by wziąć pod opiekę jakiegokolwiek zwierzę. Zawsze uważał, że jest inny, że jego dar skrupulatnego myślenia, płynnej logiki, budowania teorii to nagroda od sił wyższych i zarazem przekleństwo. Czuł się osaczony i nie mógł znieść podejrzeń, że on, wielki myśliciel, był tylko pionkiem w grze korporacji i rządów. Przecież był pryzmatem społecznym, naturalnym liderem, wybitnym blogerem, który wciąż nieoszlifowany czekał na okazję, by ujawnić swój pełen potencjał.

Dwie godziny później Henry ocknął się ze snu i siedząc w łóżku, oparty o ścianę, wywołał interaktywny ekran na brązowej pościeli. – Wiem, co muszę zrobić, i nie mam wyjścia – stwierdził na głos i otworzył kolejny wpis na swoim blogu, gdzie fanów przybywało w setkach z każdą godziną.

Jestem już pewny, że firma Santlite to prawdziwy wróg. Ich celem jest bezwarunkowa władza. Wykorzystają do tego nawet Słońce, nad którym w jakimś stopniu mają kontrolę. To oni są odpowiedzialni za pulsację naszej gwiazdy i za Kryzys Słoneczny. Jedyne czego nie jestem jeszcze pewien, to jaką rolę w tym wszystkim odgrywa nasz rząd, ale i tego zamierzam wkrótce się dowiedzieć. Oby to nie był mój ostatni wpis. Demastos – zanotował.

Całe popołudnie Henry spędził, wędrując po domu, układając w głowie fakty i co chwilę spoglądając na drzwi, które w jego wyobraźni były już setki razy otwierane, wysadzane, wyważane, by ułatwić siłom specjalnym wejście do budynku. W zasadzie pogodził się już z tym, że któregoś dnia po prostu zniknie. Był też pewny, że Niham Sante zginął w zamachu. „Czy to rząd posunął się do zabójstwa, czy może to Wigger Anders pozbył się poprzednika?” – pytał własne osobowości w trwającej wewnętrznej dyskusji. „Czy to znaczy, że boją się ujawnienia sprawy, czy może Sante chciał powstrzymać zło w jego firmie i dlatego zginął? Może sytuacja jest bardziej skomplikowana albo plany Santlite są tak daleko posunięte, że tylko takimi drastycznymi działaniami rząd może ich powstrzymać? Jedno jest pewne, nie mogę ufać własnej Agencji” – stwierdził, a logika prowadziła go jak artystę po linii ku krawędzi zrozumienia. Był pewny swojego rozumowania. Wszystko się zgadzało. Elementy układanki powoli odsłaniały całość, a myśli, jak nigdy, były płynne i niepodważalne, piękne jak muzyka płynąca z natury istnienia rzeczy wszelkich. Pozostało jedynie pytanie, dlaczego jego dyrektor tak jednoznacznie zareagował na prawdę? „Niedługo się tego dowiem” – pomyślał i wyskoczył z łóżka pełen energii, jakby spał co najmniej tydzień. Odnalazł w szafie exopłaszcz, który dawno temu kupił, ale rzadko nosił i wyszedł z domu, włączając ulubiony zespół o nazwie Retreat. Miał plan i wreszcie odwagę, by go zrealizować.

Idąc przez miasto, dyktował w kołnierz płaszcza nowy wpis na swojego bloga. – *Władze od zawsze pragnęły tylko jednego: mieć niezbywalną kontrolę nad światem, ale też zawsze były obserwowane przez swoich obywateli. Istniała więc delikatna równowaga między realizacją woli narodów a władczyimi zapędami rządzących. Co innego z firmami. Te, w duchu kapitalizmu, mogą robić, co chcą, a rosnąc w siłę, rozwijają swoją megalomanię i być może dotarliśmy do chwili, w której to one chcą rządzić światem. Różnica jednak polega na tym, że państwa podzielone są granicami i wzajemnie się nimi blokują, uniemożliwiając absolutną hegemonię każdemu z nich. Niham Sante kiedyś powiedział: „My myślimy globalnie, państwa niestety terytorialnie”. Kiedy nie ma granic, marzenie o władzy nad całym światem staje się wyjątkowo realne i całkowicie możliwe do zrealizowania dla takiej firmy jak Santlite. Obywatelu, czy jesteś w stanie oddać wszystkie swoje zabawki, biomechanizmy, exoubrania, by zapobiec dominacji Santlite nad światem? To jest ich zapłata za nasze przyzwolenie. Biorąc ją, zawierasz niepisaną umowę, w której twoje ciało i dusza, i wszystko co sobie zatrzymujesz, co dajesz, czym handlujesz, co kupujesz, wyżebrzesz, pożyczysz lub ukradniesz, i myśli twe, i każdy gest stają się ich na wieki.*

Wędrując ulicami New Hampshire, Henry mijał ludzi, którzy wydawali mu się tylko trybikami w kołach zamachowych Wielkiego Planu, ofiarami jeszcze większego spisku i straceńcami na wojnie niewidzialnych sił schowanych za fasadami organizacji, korporacji, władz. – *Musimy walczyć, bronić się, odrzucić ich świat – dyktował dalej, próbując zamknąć wpis chwytliwym podsumowaniem – a może wtedy Ziemia nas ocali, zamiast wszystko zniszczyć. I wstanie nowy dzień dla tych, którzy trwali,*

a lasy rozbrzmia znów śmiechem – zakończył, widząc na kołnierzu migającą liczbę sześć, oznaczającą pozostałe do wykorzystania znaki. Starał się nie przekraczać z góry określonej długości wpisu, bo wyczytał kiedyś, że skupianie uwagi jest już rzadko spotykaną sztuką i nie ma sensu zarzucać ludzi tekstem.

– No tak – mruknął, publikując podyktowaną treść – ludzie są coraz głupszy. To pewnie też zaplanowali w Santlite – stwierdził i roześmiał się na myśl, że za chwilę złamie prawo i wystąpi przeciwko swojemu długoletniemu pracodawcy. Chciał to zrobić już dawno, marzył o tym od lat, ale nigdy tego nie sprecyzował, nie mając okazji, nie znajdując odwagi, pomysłu, czasu. Teraz bez wahania rzucał wyzwanie potężnym wrogom, negował Wielki Plan, sprzeciwiał się ustawionym następstwom rzeczy i był w swej krucjacie zupełnie sam. Niewiele mógł jednak stracić: dom, trochę sprzętu i kilka lat życia. To nic w zamian za możliwość ocalenia ludzkości z rąk tyranów. Zawsze chciał być tym bohaterem, który w cieniu codzienności poświęca się dla ogółu, i z taką wizją maszerował ulicami miasta, uśmiechem zdradzając szaleństwo w akcie tworzenia.

Dotarł do opustoszałej dzielnicy, kiedyś zamieszkiwanej przez bogatszą społeczność New Hampshire, i stanął przed drzwiami starego, ale zadbanego budynku. Właśnie tu, o dziwo tu, miał spotkać dostawcę. Tak nazywano ludzi sprzedających nielegalne oprogramowanie szpiegowskie łamiące zabezpieczenia, destrukcyjne i inne. Henry już kilka razy korzystał z ich dobrodziejstw, by uzyskać dostęp do płatnych usług w sieci, na które nie chciał wydawać pieniędzy. To były drobiazgi, jakich raczej nikt nie ścigał i nie karał, jeśli tylko zachowało się umiar. Tym razem jednak do szpiegowania serwerów Agencji potrzebny był zdecydowanie bardziej skomplikowany i agresywny program, klasyfikowany do grupy narzędzi terroru sieciowego. Za jego posiadanie groziły lata więzienia i Henry o tym doskonale wiedział.

– Kto? – zawołał głos zza czerwonych jednolicie płaskich drzwi budynku.

– To ja, Demastoy – odparł Henry, rozejrzał się, jak w szpiegowskich filmach, i wszedł do środka. Ekstremalny snobizm wnętrza, niczym obrzydliwy zapach zgnilizny, wzbudzał w nim chęć zwrócenia jedzenia. Tylko fakt, że już dawno nic nie włożył do ust, powstrzymał go przed zabrudzeniem gładkiej jak lodowisko podłogi. Był to bardzo popularny w latach tuż przed Kryzysem Słonecznym minimalistyczny trend bogatszej części mieszkańców Ameryki. Idea była prosta. Usunąć jak najwięcej mebli, zostawić absolutnie to, co niezbędne, resztę wrzucić w konstrukcję budynku. Oprócz całej elektroniki, która tak jak u Henry'ego była zintegrowana ze ścianami, w podpory sufitu zostały wbudowane wysuwane stoły, krzesła, szafki, lodówka, pralka... Słowem pomieszczenie było kompletnie puste. Nawet światło generowały ściany, na których pełnej powierzchni wyświetlało się kontrastujące z architekturą nowoczesne graffiti, niewątpliwie dodane już przez nowych mieszkańców. Henry miał wrażenie, że jest zamknięty w prostej bryle muzeum z jednym eksponatem: czystością w doskonałej formie. „Jak można tak mieszkać?” – pomyślał z odrazą, przerażony przerostem sztuki nad praktycznością.

– Jak ci się lubi moja siedziba? – zapytał młody chłopak w środku pomieszczenia, pokazując rozłożonymi rękoma gołe ściany. Jego ubiór kompletnie nie pasował do stylu mieszkania. Miał na sobie trzywarstwową różnokolorową kurtkę, dwuwarstwową czapkę i masę elementów ozdobnych na szyi, rękach i twarzy. Wyglądał jak stoisko z drobiazgami, wieszak na biżuterię i bezdomny z całym dobytkiem na sobie.

– Fajna – odparł Henry, próbując zaaklimatyzować się w tym absurdalnym dla niego środowisku.

– E tam, to tylko dziupla. Korzystam, bo właściciele wywiało – mówił chłopak z głupekowatym uśmiechem. – Już raczej nie wrócą, czaisz? – dodał.

Henry rozumiał. W Ameryce trwała właśnie cicha rewolucja, o której nikt nie mówił. Po wprowadzeniu Wielkiego Planu zamożniejsza warstwa społeczna straciła wszelkie przywileje i stała się kozłem ofiarnym władz, które przymykały oko na liczne samosądy i wypędzenia spontanicznie organizowane przez uboższych mieszkańców. To samo miało miejsce w Europie, i to ze zdwojoną brutalnością. Najbiedniejsi mogli wreszcie zemścić się za swój marny los i jednocześnie ukarać winnych zagłady Ziemi, w ich mniemaniu przynajmniej. ZN nawet nie próbowało powstrzymać tej krwawej rewolucji, więc co jakiś czas wypływały doniesienia o śmierci lub zaginięciu bogaczy starego świata.

– Tak, czaję – potwierdził Henry, naśladowując styl dostawcy. – Czytałem, że ostatnio zabili kogoś z rodu Wistros.

– Szkoda, bo fajne ciuchy robią – odparł młodzieniec z fałszywym wzruszeniem. – W sumie to już nie robią przez ten jebany Plan – dodał, wpisując jakieś komendy na ramieniu kurtki.

– Akurat ten, co zginął, miał firmy z branży samochodowej.

– Wszystko jedno. Jest ładnie, czysto. Chodź na dół.

Henry ruszył za nim, wpatrując się w wyświetlane na kurtce chłopaka graffiti, mimo jego ruchu, tkwiące w miejscu. To sprawiało bardzo dziwne wrażenie. Jakby miał na sobie ogromny, nieruchomo zawieszony w innym wymiarze obraz, którego fragmenty można było zobaczyć tylko przez pęknięcie w czasoprzestrzeni widoczne w materiale jego ubioru.

– Czytam czasami twoje wpisy – powiedział chłopak, dotykając ściany. Podłoga przed nim otworzyła się i odsłoniła schody do piwnicy. – Jak chcesz, mogę ci sprzedać fajny temat do rozpisania.

– Jaki?

– Nasz słodki rząd próbuje wbić się nam do łbów.

– Już od dawna próbują.

– No tak, ale teraz, oprócz srania nam bzdurami w szkołach, chcą jeszcze montować biomechanizmy w naszych czaszkach i to, kurwa, bez naszej wiedzy – zdradzał dostawca, tym razem szczerze przejęty. – Dostałem info, że od lat pracują nad tajnym projektem, czekaj, jak oni to nazywali? – Zamyślił się, stając w połowie drogi na dół. – Miraż czy jakoś tak. To gównu ma notować wszystko, co widzisz, a nawet usuwać ci z pola widzenia to, czego nie chcą, byś zobaczył. Pojebane.

– Nie słyszałem o tym i szczerze mówiąc, nie mam teraz czasu na ten temat rozmawiać.

– Okay, okay, zluźnij, takie tylko ciekawostki sprzedają. Może to ściema tylko – chłopak niepotrzebnie uspokajał Henry'ego, który uśmiechnął się na widok pokoju antyelektronicznego w podziemiach budynku. Tego typu zabezpieczenie w jego przypadku było wysoce wskazane.

– Mieszkaś tu? – zapytał Henry.

– Co ty, głupi? – wyśmiał klienta dostawca. – To tylko miejscówka do ogarniania biznesów. Mam nadzieję, że identyfikator zostawiłeś w domu? – zapytał.

– Tak.

– Podobno chcesz się włamać do głównego komputera ANS?

– Tak. Podobno masz odpowiednie narzędzia? – przeszedł do sedna Henry.

– A ty podobno masz fizyczny dostęp.

– Zgadza się.

– Tak więc SOL ma dla ciebie prezent, jeśli tylko ty masz pieniądze – oświadczył chłopak, zacierając już ręce na myśl o szybkiej transakcji.

Henry znał ten pseudonim. To nazwa jednego z profesjonalnych programistów rządowych, który wybrał ciemną stronę mocy po ogłoszeniu strategii budowy Floty. Wiedział więc, że kupuje towar najwyższej klasy. Bez zastanawiania wyciągnął w stronę dostawcy rękę i powiedział: – Dziewięćdziesiąt tysięcy amero.

Chłopak wystawił przedramię, by dokonać transakcji. Spojrzał na potwierdzenie przelewu, które zgłaszała mu kurtka, zablęsnął uśmiechem i dodał: – Jest okay. Włączam pole blokujące. – Potem wskazał na niewielki panel w środku pomieszczenia i zapytał: – A masz plan na kamerki w środku?

– Nie muszę.

– Niewidzialny jesteś czy jak?

– Nie działają – wyjaśniał Henry. – Padły w 2112 roku razem z innym sprzętem i do tej pory nikt ich nie wymienił. W zasadzie to z zabezpieczeń działają tylko identyfikatory.

– Nikt nie ogarnął? – pytał chłopak skupiony na szybkich komendach, które wykonywał oburącz, krzyżując dłonie na piersi i pracując palcami na ramionach kurtki.

– Oficjalnie wszystko działa. Ludzie się pilnują, włamań nie było – opowiadał Henry, z niesmakiem przyglądając się obecnie modnej wśród nowego pokolenia metodzie pracy na stojąco.

– Do teraz – skwitował dostawca. – A ty skąd wiesz, że nie kamerują?

– Przez przypadek zniszczyłem kiedyś kamerę i nikt nigdy nie przyszedł jej naprawić. W ogóle już nic nie naprawiają. Jak się zepsuje, to zostawiają, bo nie ma na to po prostu pieniędzy. Flota jest ważniejsza.

– To masz, chłopie, farta – stwierdził chłopak. – Dobra, działa. Załaduję do symulatora to чудо. Możesz sprawdzić, jak śmiga – zaproponował, odchodząc od komputera. – Ty, a może chcesz jakieś dragi jeszcze? Co?

– Co?

– No narksy, wiesz. Mam sporo dobrych z DPP. Nic nie uzależniają, a latasz jak smok.
– Każdy narkotyk uzależnia – stwierdził Henry, przeglądając zapuszczony symulator zabezpieczeń.
– Nie no, DPP maskuje się dobrze.
– Może organicznie nie uzależniają, ale psychicznie tak. Na tym polega narkotyk.
– Jak chcesz, nie to nie – dostawca odpuścił, wzruszył barkami i spoglądał na ekran, gdzie zaawansowany program duplikujący wykonywał niepostrzeżenie swoje zadanie. – Widzisz, działa elegancko.

Henry spędził w budynku ponad godzinę, testując i optymalizując pod siebie wirusa, a wychodząc, kurczowo trzymał w kieszeni specjalnie przygotowany dysk. Musiał go tylko podpiąć bezpośrednio do głównego komputera Agencji. Nie bał się. Strach, który przez lata owijał jego umysł i wiązał ręce, teraz prysł w chłodnym jesiennym powietrzu, jakby nigdy nie istniał. „To takie proste” – pomyślał. – „Wystarczyło zrobić pierwszy krok, a klatka wiecznego domniemania słabości otworzyła się na świat nieskończonych możliwości. Nie jestem od nich ani gorszy, ani głupszy, ani bardziej wystraszony. Jestem im równy i wreszcie gotowy”.

I był. Świadczył o tym każdy pewny krok i każda mijana osoba, której Henry spoglądał odważnie w oczy. Wwiercał się w ich źrenice i triumfował, gdyż to oni uciekali wzrokiem.

– To takie proste! – krzyknął, jeszcze bardziej onieśmielając przechodniów. – *Każdy skrywa w sobie strach, a bohaterami zostają ci, którzy wiedzą jak go poskromić* – podyktował do kołnierza, tworząc kolejny wpis na blogu. – *Jeśli takich jest niewiele, zostają męczennikami, ale jeśli jest ich więcej, razem tworzą rewolucję. Wkrótce przyjdzie moment, by każdy podjął decyzję. Czy zostaniesz marionetką władz, czy bojownikiem o wolność, zależy już tylko od ciebie. Ja właśnie wybrałem.*

Gdy następnego dnia Henry przebrnął przez korytarz Agencji, który już nie wydawał mu się taki straszny, od razu poprosił Helen do siebie. Ta posłusznie przybiegła, jak zawsze w pozytywnym nastroju.

– Jak zdrowie? – zapytała.

– Dobrze, już dobrze. Słuchaj, potrzebuję nowy identyfikator. Ten sam model – zażądał Henry, wykonując przypadkowe akcje na swoim pulpicie, by stworzyć wrażenie zajętego piętzącą się od wczoraj pracą. Chciał spojrzeć jej w oczy, pokazać swoją siłę, ale wiedział, że nie powinien tak łatwo zdradzać przemiany.

– A co jest nie tak z obecnym?

– Jest skażony, połączenia nie są stabilne. Wiesz, o co chodzi.

– Rozumiem. Miałam niedawno podobny problem. Zauważyłaś, że jakość urządzeń ostatnio spada? Myślisz, że to przez Wielki Plan? – pytała Helen nieświadoma gry, która właśnie się rozpoczynała.

– Możliwe, w końcu cała gospodarka skupia się na produkcji okrętów.

– Też tak myślę. Ciekawe jak będzie wyglądał świat za te kilka lat, gdy Wielki Plan zdominuje wszystko. Myślisz, że ANS będzie jeszcze istniało? – zastanawiała się kobieta, obserwując swojego przełożonego, który dzielnie walczył z wyimaginowanym zadaniem na biurku.

– Wątpię, bo w planie mają całkowite wyłączenie sieci gdzieś w połowie lat dwudziestych, więc nasza praca byłaby zbędna.

– Co będzie wtedy z nami? – dociekała Helen zmartwiona tak, jakby dopiero teraz dotarło do niej, że świat zaczął kręcić się w drugą stronę. – Nie wyobrażam sobie pracy w hali. Nie znam się na tym i nie wiem, czy potrafiłabym ot tak przestawić się z dnia na dzień. Mam nadzieję, że pozwolą nam dopracować tu w spokoju.

– Nie wiem – zdawkowo odparł Henry, nadal wykonując zaawansowane komendy na biurku.

– Słyszałam też, że Rosjanie budują własną flotę. Niektórzy straszą kolejną wojną, a ja nie wiem, co myśleć.

Henry oderwał wreszcie wzrok od pulpitu i po raz pierwszy w życiu przyjrzał się Helen dokładnie. To niesamowite, jak inna była od tego, co sobie o niej wyobrażał. Słaba, zniszczona pracą, pomarszczona, zdruzgotana, bez wiary, rozbita, zdeptana stała przed nim, jak ofiara wieloletniego maltretowania. Nie była filarem Agencji, nie utrzymywała jej na swoich barkach, wręcz przeciwnie, to ściany budynku dawały Helen schronienie i tak potrzebną stabilność na burzliwych wodach nieakceptowanej Wielkim Planem starości. Niewidzialna hierarchia, w której tkwiła na najniższym szczeblu, dawała jej poczucie złudnego bezpieczeństwa. Do teraz, bo właśnie oplótł ją strach nadchodzących zmian. Nowo narodzona na oczach Henry’ego dołączyła do grona ludzi świadomych

sytuacji na Ziemi, dając mu sygnał, że podjął słuszną decyzję. Poczł się jak bohater, który własnym poświęceniem może ocalić ją i wszystkie inne sekretarki na świecie albo asystentki, jeśli nią była. Henry wciąż tego nie wiedział. Poczłstował ją uśmiechem, po raz pierwszy nawiązując dłuższy kontakt wzrokowy z kobietą.

– Myślę, że niewiele się zmieni. Przekwalifikują nas odrobinę i wszystko będzie po starym – zapewniał, wywołując na jej ustach uśmiech, który uznał za wyjątkowo ładny i szczery. – Helen, proszę cię, identyfikator. Bez niego nie mogę pracować – poprosił grzecznie.

– No tak, faktycznie. Już idę po nowy.

Ta gra coraz lepiej mu szła. Henry był opanowany, chłodny, inteligentny i jak tajny szpieg podczas którejś z kolei misji. Czekając na asystentkę, włączył telewizję i delektował się informacjami spływającymi z całego świata, dając wgląd w majestatyczny obraz Wielkiego Planu. Kolejne pięć okrętów wchodziło właśnie do służby, następne trzydzieści było na ukończeniu, a w Azji otwarto sześć nowych pól tarasowych. ZN podało, że od następnego tygodnia kursy techniczne dla szkół podstawowych będą przymusowe, a naukowcy potwierdzili nieodwracalne uszkodzenia DNA roślin i rozpoczynają pracę nad zachowaniem genetycznie modyfikowanych pól uprawnych. Z mniej istotnych wydarzeń, jakiś polityk został wyrzucony z którejś suborganizacji ZN za negację istnienia zagrożenia zagładą i będzie sądzony jak za terroryzm.

W głowie Henry'ego, niczym szum spadającej gilotyny, zabrzmiała straszna myśl: „A jeśli Helen jest w to zamieszana? A jeśli ją wysłali, by sprawdziła, czy nie mam wywrotowych poglądów?” – pytał wpatrzony w swoje roztrzęsione dłonie. Niesiony paniką podniósł się z fotela, a jego ciało zdrząło, aż poczuł bolesny skurcz mięśni.

– Co ja robię?! – krzyknął i wpadł plecami na ścianę gotowy wyznać każdą zbrodnię żołnierzom, którzy już za drzwiami przeładowywali broń. – Co ja zrobiłem, co ja zrobiłem – powtarzał, stukając zębami, chowając twarz w dłoniach i płacząc na myśl o torturach, jakie przyjdzie mu znośić za chwilę słabości i zabawę w szpiega. Najbardziej ze wszystkiego bał się tego, że nikt nie przyjdzie na jego pogrzeb. – Ano tak – powiedział, przeradzając rozpacz w śmiech. – Tacy jak ja nie mają pogrzebów – stwierdził i tym absurdalnym faktem uspokoił swoje najstraszliwsze obawy. Serce wciąż dudniło mu w piersi, ale atak minął. Odzyskał spokój sprzed chwili, mówiąc sobie: – To tylko moment słabości, nic się nie stało, nic się nie stało.

Kwadrans później Helen przyniosła nowy identyfikator. Henry pewną ręką wziął od niej urządzenie i powtórzył procedurę sprzed dwóch dni, ale tym razem kichnął albo raczej udał, że kichnął, zakrywając usta dłonią, gdy wciąż miał otwarty w niej biomechanizm.

– Pobrudzisz sobie złącza – przestrzegala Helen, szukając w kieszeni chusteczki.

W tym momencie Henry dokonał podmiany.

– Bez obaw, to porządny biomechanizm, a nie podróbka z Indii – powiedział, nie wiedząc, czy miał to być żart, czy fakt. Na oczach Helen włożył stary identyfikator na miejsce, choć nie domknął płytki, zakrywając to drugą dłonią, a nowy jej oddał. Asystentka schowała urządzenie do pudełka bez spojrzenia na nie i wciąż wdzięczna za słowa otuchy sprzed kilkunastu minut, wyszła z biura.

„Jak zawsze nie sprawdziła numeru seryjnego” – pomyślał Henry. Dumny ze swej spostrzegawczości odliczył kilka sekund, upewnił się, że stary identyfikator jest niepodłączony i szybkim krokiem wyszedł ze swojego biura. Za dziesięć minut Helen zresetuje nowe urządzenie i wtedy podmiana wyjdzie na jaw, ale na razie dzięki tej małej pomyłce Henry mógł niezauważenie wykonać swoje zadanie.

Wjechał na najwyższe piętro, gdzie znajdowała się serwerownia, i jeszcze w windzie wpiął w miejsce identyfikatora mały dysk, który schował we wczoraj przyszytej do marynarki ukrytej kieszeni. Przy bramie sali komputerowej stało dwóch nieruchomych, jak ze stali odlanych strażników. Henry przystawił rękę do czytnika. „Oby się udało” – pomyślał i poczuł dwie pędzące mu po plecach krople potu. Nie powinien tu być. Do serwerowni wchodził tylko technicy i administratorzy, ale szansa, że pilnujący drzwi mężczyźni ich nie rozpoznawali, była spora. Henry wiedział też, że po tej akcji będzie ściagała go cała Agencja. Ci dwaj na pewno wezmą w tym udział, dlatego spojrzął im odważnie w oczy, jak gdyby chciał powiedzieć, że nie ma w nim już strachu. Nie odpowiedzieli na jego uśmiech.

Drzwi serwerowni, jak komnata pełna skarbów, odsłoniły długie ciągi serwerów, witając inspektora chłodnym powietrzem wentylatorów. Henry ruszył odważnie w stronę panelu zarządzania, a gdy upewnił się, że jest sam, wyjął dysk z dłoni i wpiął go w system.

– Teraz twoja kolej, SOL – powiedział wpatrzony w trzy węzowe głowy tworzące na panelu czerwone logo. Po trzydziestu sekundach wyjął urządzenie, schował je do kieszeni i wyszedł, pamiętając o ponownym włożeniu identyfikatora w dłoń. Programy były załadowane i teraz potrzebowały około sześciu godzin, by pozyskać dla niego pełny dostęp do wszystkich plików Agencji.

Henry pośpiesznie wrócił do biura, gdzie już czekali na niego agent ochrony i Helen. „Minęło dziewięć minut” – pomyślał, patrząc na ich twarze.

– Panie Skimmer, komputer wykrył brak sygnału z pana identyfikatora. Proszę pokazać dłoń – rozkazał ochroniarz w czarnym wojskowym mundurze. Henry wyciągnął grzecznie rękę, udając zaskoczonego, a mężczyzna przyłożył do niej mały kontroler.

– Biopłączenie nie jest aktywne – stwierdził.

– Ale jak? Przecież to nowy identyfikator! – wołał oburzony Henry, klepiąc się po dłoni, próbując tradycyjną metodą wstrząsów poprawić urządzenie. Identyfikator wskoczył na miejsce, generując właściwy sygnał.

– To na pewno przez to, że kichnąłeś sobie w gniazdo – zwróciła uwagę Helen pouczającym, wręcz nauczycielskim tonem.

Ochroniarz spojrział na kobietę, później na Henry’ego i na swoje urządzenie.

– Numer identyfikacyjny się nie zgadza – powiedział, oczekując wyjaśnień od przerażonych pracowników.

– Jak to?! – krzyknęła Helen, czując, że to może być jej wina.

– Widzę stary, zdezaktywowany, a nowy, śledzony przez system został wyczyszczony.

– Pomyliliśmy identyfikatory! Bardzo przepraszam, to moja wina. Powinnam była to sprawdzić – tłumaczyła się gęsto kobieta, racząc ochroniarza wzrokiem zbitego psa.

Henry wtórował jej, odgrywając równie zaskoczonego i zdenerwowanego. To drugie uczucie akurat odtwarzał wyjątkowo naturalnie, czując na piersi parzący skórę dysk, którego odkrycie zależało jedynie od decyzji strażnika, by go przeszukać.

– Panie Skimmer, przez dziewięć minut nie był pan w ogóle monitorowany – mówił agent ochrony, wywołując w głowie Henry’ego myśl, że nienawidzi swojego nazwiska. – To jest naruszenie protokołu i będę musiał to zgłosić.

– Proszę więc zgłosić, że byłem w łazience oczyścić nos i się wysikać, w odwrotnej kolejności. Wszystko jest na kamerach, może pan sprawdzić – zapewniał Henry, pokazując palcem sufit, a potem ścieżkę swojej wizyty do toalety.

– Rozumiem, odnotuję to. Niech pana sekretarka przygotuje nowy identyfikator. Tym razem proszę upewnić się, że biopłączenie będzie poprawne. Tymczasowo przywracam śledzenie starego identyfikatora.

Henry kiwnął głową na znak, że zrozumiał. Agent wyszedł, a za nim Helen, zostawiając go na słomianych nogach, które odmówiły posłuszeństwa, gdy tylko opadł na fotel. Wtedy ogarnęła go nieopanowana radość, jakby zdobył najwyższy szczyt świata. Już prawie ich pokonał, musiał tylko odczekać sześć godzin, a wtedy zwycięży. Nie miał zamiaru już pracować, nie dla nich, więc z zaangażowaniem oglądał pojedynki w strategiczną grę StarCraft IV i grał w różne znalezione w sieci strzelanki.

Przez cały dzień nic się nie działo. Adler nie pisał, Helen wpadła tylko na chwilę przekazać mu nowy identyfikator, a gdy przyszedł czas, Henry wyciągnął dysk szpiegowski i zobaczył na nim migające zielone światełko. Miał już dostęp do najlepiej zabezpieczonych plików Agencji. Spokojnie włożył płaszcz, rozejrzał się po biurze, jak pracownik, który już tu nie pracuje, i wyszedł z uśmiechem wolnego, odmienionego człowieka. Po drodze, jak nigdy, mówił wszystkim „do widzenia”.